

Andrij Lubka

Killer

Przełożył
Bohdan Zadura

Biuro Literackie • Wrocław 2013

PUŁKOWNIK MILICJI I ZBLIŻAJĄCE SIĘ KLIMAKTERIUM

Pułkownik milicji Witalij Andrijowicz Krymow wygodnie umościł się w fotelu naprzeciw okna i przy czymś zawzięcie majstrował. Miał na sobie tylko szorty, koszulkę bez rękawów i domowe kapcie – na dworze rozkwitało bujne lato, zaglądając wprost do okna jego mieszkania gałązkami czereśni, trzmielami i spłachetkiem błękitnego nieba w górze.

Tym, co tak pochłonęło Witalija Andrijowicza, była maleńka szara myszka, która przypominała niemal żywą, ale była z metalu, nafaszerowana różnymi drucikami i mikroprocesorami. Cały ubiegły tydzień pułkownik milicji poświęcił temu, żeby różnymi wymyślnymi sposobami podłączyć myszkę do elektronicznego pilota. Wnętrznosci wydobył z dziecięcego sterowanego autka na baterie, które w poniedziałek kupił w „Świecie dziecka”. Robota była trudna, ale wciągająca: cały tydzień pochylony nad maleńką myszką za stołem z czerwonego drewna w swym wielkim gabinecie, wyobrażał sobie fantastyczną uciechę, kiedy jego żona Nina w sobotę spokojnie będzie krzątała się w kuchni, a on skieruje tam swoją maleńką przyjaciółkę – mysz. Ale będzie wrzasku! Wskakiwania na stołki! Ninka na pewno wypuści z rąk talerz albo garnek! I wtedy on – jej obrońca i bohater – wpadnie do kuchni jak superman, jednym szybkim ruchem – bez żadnych wahań – złapie złowieszczą mysz w garść i wyniesie ją na ulicę, gdzie ostrożnie schowa do kieszeni, bo jeszcze się przyda. A Nina za to z pewnością go obejmie i pocałuje, znów nazwie swoim rycerzem, jak nie nazywała już od dwunastu lat i, jeśli się poszczęści, ugotuje mu pierogów z wiśniami. Ach, jaki zapowiadał się weekend –

śloność rozplęwała się Witalijowi Andrijowyczowi od skroni po opuszki palców, rozmarzony zamykał oczy i odchyłał się w tył w swoim wielkim skórzanym fotelu.

Ale wbrew jego planom, wszystko poszło na odwrót. To znaczy, świat pozostał na swoim miejscu – i jego praca, i jego mieszkanie, i nawet sobota nadeszła na czas, i co tam jeszcze – nawet żona krzątała się w kuchni, słuchając radia, i myszka płynnie i bez problemów wjechała do kuchni, i po kilku sekundach Nina Mykołajiwna w przerażeniu wypuściła z rąk talerz z sałatą, i jak dzika pantera wskoczyła na stół, po drodze jeszcze uderzając głową w lustro; ale minęła jakaś chwila i myszka, oparłszy się nosem o gazową kuchenkę, zamiast pobiec w bok, mądrze wrzuciła wsteczny, zwinnie się odwróciła i bezszelestnie weszła pod stół. Nina Mykołajiwna rąbkiem fartucha przetarła zdziwione oczy, przyjrzała się i zobaczyła, że ogon myszy sterczy pionowo do góry, a na jego koniuszku miga malusieńka czerwona lampka. Rozgniewana kobieta zeskoczyła ze stołu w tej samej chwili, kiedy do kuchni wskoczyło przysadziste ciało jej męża, czemuś ze starannie wygoloną głową i w nowej koszulce: oboje rzucili się pod stół, ale tym razem świętować zwycięstwo sądzone było jednak damie, i ona z całej siły walnęła czaszką w mysz, ta rozpadła się na dwie części, jeszcze pewien czas dalej bucząc.

– Co to ma znaczyć, gamoniu?! – wydarła się na Witalija Andrijewicza jego żona.

– Słońce moje, ty po prostu nic nie rozumiesz, ja... mhm, mhm, mhm... jakby to powiedzieć... mhm, mhm... prowadzę doświadczenia... – z kwaśnej miny pułkownika trudno było wywnioskować czy kłamie, czy mówi prawdę.

– Na mnie, bydlaku?!

– Nie! – mężczyzna aż pojaśniał, namacawszy myślą deskę ratunku. – Na myszy!

– Swoimi doświadczeniami ty do grobu mnie wpędzisz, kreaturo! Kto robi doświadczenia na metalowej myszy, co? Też mi, cybernetyk się znalazł! Wy tam u siebie w pracy na ludziach doświadczenia robicie, bijecie, narządy odbijacie, zabijacie, gwałcicie,

a tobie wszystkiego mało, sadysto, tak? Tobie jeszcze nad żoną poznęcać się trzeba? I do grobu ją wpędzić – tę, która dwadzieścia cztery lata ciebie znosi, myje, ubiera, karmi?

– No daj już spokój! Nikogo nie zabijamy, sami ze schodów spadają, kiedy długo nie chcą mówić. I w ogóle – nie pchaj nosa w nie swoje sprawy! Siedzisz tu w kuchni – to siedź! I żebym twoich pisków więcej nie słyszał! Jasne?

– Idź stąd, kreaturo – zmieszana powiedziała Nina Mykołaj i odwróciła się do gazowej kuchenki, żeby otrzeć łyżę.

Witalij Andrijowycz wyszedł z kuchni, wszedł do pokoju, włączył telewizor prawie na pełny regulator i zaczął oglądać program o samochodach. „Ech, szkoda, że to tak wyszło – myślał sobie pułkownik. – Chciałem jak najlepiej, ale się nie udało. I jak ona poznała, że to nieżywa mysz? A mógłbym teraz czulić się w miłości i zajadać pierogi z wiśniami. No nic, jeszcze coś wymyślę.”

Ostatnimi laty nie żyło mu się lekko. Kariera, co prawda, poszła do przodu, ale to nakładało więcej obowiązków, odpowiedzialności, zabierało więcej czasu, a w tym czasie i dzieci zdążyły zdobyć wyższe wykształcenie i rozjechać się, i oni z Niną zostali w domu sami, jednak zamiast zacisza na stare lata, spokoju i szczęścia, rodzina zaczęła trzeszczeć w szwach: dzieci nie chciały się z nimi spotykać, wyrzucając mu, że zmarnował im dzieciństwo apodyktycznym wychowaniem i nakazami, kogo i co mają lubić, a kogo nie, żona z roku na rok coraz częściej sypała przekleństwami w jego stronę, bo się jej nie podobało a to, że milicja służy autorytarnemu prezydentowi-debilowi, a to, że milicja zabija ludzi i bierze łapówki, a za wszystko w jej oczach odpowiedzialny był on – raptem tylko naczelnik jednego z wydziałów milicji w mieście Kijowie. Szaleństwo w domu przerzuciło się, jak pożar, również na pracę – jego nazwisko coraz częściej pojawiało się w skandalach, obrońcy praw i opozycja coraz częściej nazywali go symbolem gnicia prawnego systemu kraju, trafił do kompromitujących materiałów, związanych z łapówkami i młodymi prostytutkami w jego saunach, dlatego całe wyższe kierownictwo – i milicyjne, i polityczne – właśnie jemu powierzało najbrudniejsze sprawy: to

sprzątnięcie dziennikarza, to „nalot” na biznes któregoś z opozycjonistów, to rozgonienie pałkami jakiegoś zgromadzenia.

Wszystko to Witalijowi Andrijowiczowi na tyle zbrzydło, że wszystkie swoje zawodowe funkcje przekazał ludziom, którym najbardziej ufał – swojemu pierwszemu zastępcy, którego kiedyś, kiedy ten jeszcze nosił pagony lejtnanta, uratował od więzienia, i kierowcy, który był na tyle głupi, że umiał jedynie wykonywać polecenia. Praca pułkownika od tego czasu sprowadzała się tylko do odpowiadania na telefoniczne dzwonki dowództwa, a wszystko inne, poczynając od prowadzenia narad, a kończąc na sprawozdaniach do Komendy Głównej, wzięli na siebie jego wierni pracownicy.

Cały czas pracy Witalij Andrijowicz spędzał albo gapiąc się w telewizor (a interesowało go wszystko – kulinaria, seriale, wiadomości, piłka nożna, losowania gier liczbowych), albo czytając jakieś powieści detektywistyczne z dobrym milionerem pośród bohaterów, który łapał przestępców, bezbłędnie strzelał, i w którym na lewo i na prawo zakochiwały się ślicznotki w różnym wieku. Nawiasem mówiąc, pan Witalij też strzelał niezłe – ćwiczył się w tym albo na milicyjnej strzelnicy, albo – znacznie częściej – wybierając się na polowania w podkijowskie chaszczce, gdzie mieściły się kusząco schowane przed ludzkim okiem specjalne ośrodki myśliwskie dla urzędników wysokiej rangi. Tam też, wśród lasu, ukrywały się nierzucające się w oczy domki wypoczynkowe z saunami, bilardami, dziewczętami i grillami.

Jednak to wszystko zbrzydło pułkownikowi. Znowu chciał, żeby kochała go żona i słuchały go dzieci, pozdrawiali sąsiedzi i pytali, na kogo głosować. Za dwa lata miał przejść na zasłużoną emeryturę i czekał na to z niecierpliwością. Właśnie dlatego wymyślał różne rzeczy, dzięki którym żona powinna myśleć, że jest dobry i jedyny.

Dzisiaj była niedziela i Nina poszła do cerkwi, złośliwie go informując, że idzie modlić się właśnie za jego grzechy. Witalij Andrijowicz nic na to nie odpowiedział, a kiedy żona wyszła, pogrzebał w kubie na śmieci w kuchni, znalazł swoją mysz i od

razu zachciało mu się ją naprawić. Przy tym właśnie zastała go Nina Mykołajiwna po powrocie do domu. Wydawało się, że jest czymś zakłopotana, bo na mysz nie zwróciła żadnej uwagi, a tylko przysiadła koło męża, z obawą wzięła go za rękę i – popatrzysz mu głęboko w oczy – przemówiła:

– Muszę z tobą porozmawiać, stało się nieszczęście.

– Mów, Ninoczko – pułkownik rozplątał się ze szczęścia, bo żona pierwszy raz od kilku lat wzięła go za rękę.

– Zdaje się, że zaczyna mi się klimakterium.

– Co-o-o?! – oczy Witalija Andrijowicza zaokrągliły się i uniosły w górę.

Nie wierzył własnym uszom. No gdyby jeszcze pękł jej pierścienek, gdyby zachciała nowego futra czy złotego łańcuszka, ale co z tym klimakterium? Przecież i tak nie wiadomo od jak dawna nie śpią razem.

– Tak, Witaliku, myślę, że zaczęło mi się klimakterium. Zrozumiałam to, kiedy szłam do domu. To straszne! Kończy się mój czas jako kobiety, rozumiesz? Chcę doznać zadowolenia jeszcze bodaj raz. Weź mnie. Witaliku, właśnie tu – weź mnie!

Nina padła na podłogę i zamknęła oczy, a pułkownik podrapał się po potylicy i powiedział:

– Dobrze, ale nie teraz. Musimy się przygotować, żeby to zapamiętać. Żeby wszystko było romantycznie i jednocześnie spontanicznie. Namiętnie, jak w młodości. Zgoda?

– Dobrze – może pierwszy raz zgodziła się z nim własna żona.

Po dwóch godzinach do pokoju Witalija Andrijowicza weszła żona, oparła się plecami o szafę i bardzo wolno powiedziała:

– Chcę na łonie natury, w namiocie, żeby było tak, jak było naszym pierwszym razem, wtedy w górach, pamiętasz?

– Jak coś takiego mógłbym zapomnieć, słoneczko? – mąż zrobił głupią minę.

Tak, pamiętał, wszystko pamiętał: studencki wypad w góry, noc, siedzenie przy ognisku i śpiewanie piosenek. Bardzo się upił jakimś białym, mocnym, radzieckim bełtem i wlaź nie do

swojego namiotu, tam spała Nina, ona pomyślała, że przyszedł specjalnie do niej, już po kilku chwilach zajęli się seksem. Był na tyle pijany, że w żaden sposób nie mógł skończyć, ona miała pięć czy sześć orgazmów – Witalij Andrijowycz teraz dokładnie nawet nie pamiętał – i czemuś się zakochała. Rano wstał i długo pił wodę z jakiegoś strumyka, zimną i czystą, a ona podeszła i go objęła. I nie puściła, jak widzimy, do tego czasu.

– No więc chcę na łonie natury. W namiocie. To będzie niezapomniany ostatni raz, będziemy mogli o tym wnukom opowiadać!

– Nino, wszystkie klepki masz na miejscu?

– No dobrze, nie dzieciom, ale będzie co wspominać.

– Ale posłuchaj, jak teraz na łonie natury – pogoda na dworze jak przy końcu listopada, może lepiej w sypialni, nastawimy kanał National Geographic?

– Nie! Chcę deszcz i namiot!

– Dobrze, będziesz miała deszcz i namiot.

Pobiegłszy do najbliższej apteki po viagrę, Witalij Andrijowycz wrócił szybko do domu, łyknął tabletkę i wbiegł do pokoju, gdzie jego Ninka siedziała przed telewizorem.

– Za dwadzieścia minut stan gotowości bojowej – wydał komendę i pobiegł do garażu, gdzie między narzędziami powinien gdzieś leżeć turystyczny namiot.

Pułkownik dość szybko go znalazł, pobiegł do mieszkania i zamknął się w łazience.

Po kilku minutach wrócił do żony, poprosił ją, żeby zamknęła oczy, wziął ją za rękę i poprowadził do łazienki. Gdy tam weszli, żona nie wytrzymała i podejrziała, co się dzieje – w szerokiej wannie jacuzzi był postawiony dwuosobowy namiot jaskrawoczerwonego koloru, nad nim zamocowany prysznic, z którego lała się woda. Odgłos naprawdę był taki, jakby padał deszcz.

Witalij Andrijowycz delikatnie – na ile mógł sobie przypomnieć, jak to się robi – rozebrał żonę, sam się rozebrał i weszli do namiotu. Po kilku chwilach z namiotu zaczęły dopływać niegłośne pojękiwania kobiety, przybierały i przybierały na sile, przebijając się przez mocną tkaninę namiotu, a potem przez wejście ich kry-

jówki przedarła się jej stopa i słychać było tylko, jak szumi „deszcz”, wałąc w dach ich kryjówki, i jęki kobiety, i dzwonek telefonu, który nieprzerwanie grzmiał na całe mieszkanie.

Pułkownik zrozumiał, że to coś pilnego, pocałował żonę w policzki i obiecał, że za dwie chwilki wróci – czyli jak tylko odbierze telefon.

– Halo, Krymow przy aparacie – sucho i trochę nerwowo powiedział Witalij Andrijowycz do słuchawki.

– To ja – pułkownik usłyszał głos ministra. – Prezydent chce sprzątnąć pewnego dziennikarza, tego, co nakręcił na wideo incydent z wieńcem. On znowu coś tam nabruździł. Jutro w pracy będzie na ciebie czekała teczka z wszystkim, co niezbędne. Zrób to cicho i czysto, do operacji weź tylko sprawdzonych ludzi. Niech to wygląda na zawał czy – no nie wiem – sam pomysł – świńska grypa, ale żadnego drogowego wypadku, jasne? Po Czornowole już nam nie wierzą, marnieśmy wtedy się spisali. Niech będzie coś egzotycznego. Wszystko jasne?

– Tak jest, panie ministrze.

– Do usłyszenia.

– Czekam na pańskie rozkazy.

Pułkownik odłożył słuchawkę, popatrzył na siebie w lustrze i poszedł do łazienki.

– No co tam, moje słoneczko już się za mną stęskniło?

Książka dostępna w księgarni

